EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 30 lipca 1933 R. | NR. 31 (44)

Śmiech Morgana

Złudzenia nacjonalizmów

Psychoza sezonowa

Lekarze pod pręgierzem

Widma na noszach

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Teatr.

AUTORZY: **Orosius. Waśniewski. Michałowski. Milkiewiczowa. Wasowski. Burdecki. Lukrec.**

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NOWA MIĘDZYNARODÓWKA

Pismo rosyjskich hitlerowców, wychodzące w Berlinie *Probużdienje Rossji* donosi o uroczystem posiedzeniu związku rosyjskich „nazi", w którem wziął udział Francuz, baron Robert Fabre-Luce, znany awanturnik. Oto jego słowa:

„Drodzy przyjaciele! Jako reprezentant młodej Francji szczęśliwy jestem, że mogę powitać narodowych socjalistów rosyjskich i niemieckich, z którymi gotowi jesteśmy kroczyć ręka w rękę, aby oswobodzić ludzkość od jarzma judeo-marksistów i masonerji. Niechaj wiedzą wszyscy narodowcy rosyjscy, że rząd, który dziś reprezentuje Francja, nie jest prawdziwym rządem francuskim, lecz rządem międzynarodowych i masońskich najemników.

Tu, w Niemczech, pertraktuję o utworzenie europejskiego związku narodowców, którego głównem zadaniem będzie uwolnić ludy europejskie od żydowskiego ucisku".

Na zakończenie francuski hitlerowiec zapewniał, że Francja „odrodzi się" w duchu Joanny d'Arc i Ludwika Pobożnego.

OPIECZĘTOWANE TRUMNY

W feljetonie p. t. „Opieczętowane trumny" pisze p. Dick w *Kurjerze Porannym:*

„Czterdziestu jeden więźniów rozstrzelano dotychczas w obozie koncentracyjnym Dachau pod pozorem „próby ucieczki". Jak podaje Żydowska Agencja Telegraficzna, na zasadzie nie pogłosek, lecz wiadomości z gazet monachijskich, „brunatni" nie są pozbawieni swoistych uczuć ludzkich. Jak ów policmajster z III części „Dziadów", co „człek ludzki — sam łańcuch oglądał" i uznawał, że „zgadza się z przepisaną wagą", tak oni — nie kryją i nie grzebią zwłok rozstrzelanych i zamęczonych w obrębie obozu w Dachau. Jeżeli są to zwłoki osób wybitnych, lub pochodzących z rodzin, mających liczne stosunki — zwłoki są wydawane, lecz — w opieczętowanych trumnach. Rodzina nie ma prawa ich otworzyć. W ten sposób wydano zwłoki adwokata — żyda, Ottona Straussa, o którym chodzą pogłoski, że „z wielkim trudem" doczekał się wreszcie wyzwalającej śmierci. Wydano również opieczętowaną trumnę ze zwłokami 22-letniego referendarza sądowego, Wilhelma Arona, b. funkcjonarjusza „Żelaznego Frontu".

Opieczętowane trumny... Czyż może być coś wymowniejszego od tych pieczęci tajemnicy? Gdyby nie chodziło tylko o pozory, tylko o brak namacalnych dowodów, aby potem można było rozsyłać w świat bezczelne zaprzeczenia, to te pieczęcie na trumnach wystarczyłyby za najoczywistszy dowód potępiający".

ŚWIĄTYNIA POKOJU

W Londynie dokonano otwarcia olbrzymiej świątyni wolnomularzy. Powstała ona na wniosek Wielkiego Mistrza, księcia Connaught. Na budowę świątyni, poświęconej „Wielkiemu Budowniczemu Wszechświata", a stanowiącej pomnik na cześć wolnomularzy, poległych podczas wielkiej wojny, płynęły datki ze wszystkich krańców świata. Wieża świątyni przewyższa kolumnę Nelsona z placu Trafalgar; mieści się w jej gmachu kilkanaście świątyń masońskich różnych obrządków, biura, muzeum, czytelnia, sale klubowe.

W uroczystem otwarciu wzięły udział liczne rzesze londyńskich wolnomularzy z księciem Walji i księciem Jorku na czele.

KRÓTKA HISTORJA Z COSTA-RICA

„Panie Dyrektorze!

„Pracuję od kilkunastu lat na plantacjach kakao San Alberto. Przed tygodniem, Towarzystwo powiadomiło nas, że odtąd przestaniemy korzystać podczas zbioru ziarn z pomocy mułów.

„Każdy kto wie, co oznacza praca w „kakaotalach" San Alberto bez pomocy mułów, nie będzie zdziwiony faktem, że każdego dnia narażeni jesteśmy na wypadki, zagrażające naszemu życiu.

„Mówiliśmy zarządzającemu, że nie możemy jednocześnie wykonywać pracy zbieraczy i bydląt jucznych. Zbierać ziarna kakao, segregować, dźwigać worki na barkach do szosy, odległej o 3 kilometry od plantacji —przekracza to nasze siły. Lecz zarządzający, przysłany przez Towarzystwo eksploatacyjne bezpośrednio ze Stanów Zjednoczonych, odpowiedział jedynie, że metys nie jest więcej wart od murzyna — a jeśli praca nie odpowiada nam, powinniśmy ją porzucić.

„Wiele kobiet pracuje tu w tych warunkach: jedna z nich zachorowała wskutek porażenia słonecznego. Udałem się do szpitala, by powiadomić lekarza o wypadku i prosić o należne jej leczenie na koszt Towarzystwa. Lekarz wzruszył ramionami— „Nic nie mogę dla niej uczynić. Łóżka są zarezerwowane dla członków rodzin amerykańskich nadzorców, a miejscowi robotnicy plantacji mogą z nich korzystać jedynie w wypadku poważnej choroby". Zadałem wówczas lekarzowi dwa pytania. Czy „poważna" choroba — oznacza śmiertelną chorobę lub agonję? Lekarz milczał. I dlaczego Towarzystwo zmusza do opłacania kosztów utrzymania szpitala, niedostępnego dla nas? Lekarz milczał.

„Proszę, panie dyrektorze, o wykorzystanie swej władzy nadzorczej nad plantacjami z ramienia rządu — w celu zmiany okrutnych i groźnych dla życia warunków pracy. Pedro Fernandez, pracownik plantacji San Alberto".

APEL KOBIET

Grupa członkiń Kasy Chorych w Sosnowcu wystosowała do Zarządu Powiatowego Kasy Chorych następujące pismo:

„Niżej podpisane członkinie Kasy Chorych w Sosnowcu zwracają się z prośbą o utworzenie dla nich Poradni Świadomego Macierzyństwa, gdzie udzielanoby im porad i środków, zapobiegających ciąży.

W okresie kurczenia się dochodów Kasy i tendencji zmniejszania świadczeń, wyda się Zarządowi ten memorjał w pierwszej chwili żądaniem nie na czasie.

Ale tylko w pierwszej chwili. Bo po głębszym namyśle prosty rachunek wykaże, że Poradnia stać się musi źródłem oszczędności dla Kasy.

Jest publiczną tajemnicą, że *plaga poronień szaleje w Zagłębiu bardziej niż w innych częściach kraju*. Ciąża „nadpsuta" u jakiejś brudnej partaczki, prowadzi do szeregu koniecznych powikłań i wymaga w końcu interwencji naprzód akuszerki kasowej w domu, a później przewiezienia do szpitala Kasy Chorych. Tam często konieczną okazuje się operacja i kilku — lub kilkunasto - dniowy pobyt w szpitalu, nie licząc najgroźniejszych powikłań, które wymagają kilkutygodniowego leczenia w szpitalu i nierzadko kończą się śmiercią.

Weźmy najpierw czysto ekonomiczną stronę zagadnienia i zapytajmy:

Co więcej kosztuje?

1). Z jednej strony: koszta jednorazowej porady i środek zapobiegawczy.

2). Z drugiej strony: koszta operacji, kilkunastodniowego pobytu w szpitalu, a często koszta pogrzebu. Jeżeli chodzi o członkinie, które same jako takie są ubezpieczone, dochodzą jeszcze koszta zasiłku.

Cynizmem jednakowoż byłoby w tak ważnej sprawie kierować się wyłącznie finansową stroną zagadnienia. Musimy uwzględnić także cierpienia, utratę zdrowia, a często kalectwo na całe życie, co wynika z obecnego stanu rzeczy.

Dlatego nie wątpimy, że gorący nasz apel zostanie uwzględniony".

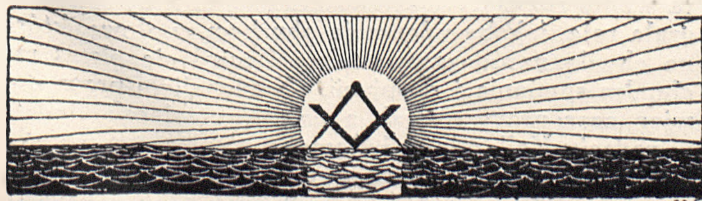
BARBARZYŃSKA NAGANKA

Staraniem Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet oraz lekarzy dr. S. Lubelskiego i dr. St. Postolko powstał w Radomsku (przy ul. Żeromskiego 5) „Ośrodek Zdrowia" z poradnią świadomego macierzyństwa.

Przeciw inicjatorom prowadzona jest barbarzyńska naganka ze strony ciemnych żywiołów miejscowych. W nocy z dnia 9 na 10 b. m. „niewiadomi sprawcy" wybili szyby w mieszkaniach dra Lubelskiego i kierownika „Ośrodka Zdrowia", lekarza powiatowego, dra Postolko. Na szyldzie Poradni świadomego macierzyństwa, po zasmarowaniu szyldu farbą olejną, umieszczono napis „Stacja prostytucji" (!!)

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet w Radomsku nie uląkł się nikczemnego teroru i dn. 16 b. m. odbyło się poświęcenie i uroczyste otwarcie „Ośrodka Zdrowia".

Przeciw organizatorom Poradni prowadzi złośliwą kampanję pisemko *„Gazeta Radomskowska"* posiłkując się demagogicznym argumentem przeciw „poczynaniom w kierunku pomniejszania zaludnienia kraju". Politycy populacyjni z *„Gazety Radomskowskiej"* nie chcą, albo nie mogą zrozumieć, że „powiększanie zaludnienia" w ośrodkach nędzy i gruźlicy jest niezawodną drogą do osłabienia siły Polski. Panowie ci zdradzają kompletną nieznajomość sprawy i sporą dozę złej woli.



ŚMIECH J. P. MORGANA

Naskutek wzburzenia opinji publicznej Stanów Zjednoczonych przeciw bankierom — i zapewne także w celu uspokojenia tej opinji — Senat amerykański wyłonił komisję śledczą, mającą zbadać działalność wielkich instytucyj kredytowych i ustalić przyczyny kryzysu bankowego.

Komisja śledcza przesłuchała już cały szereg największych bankierów Ameryki. Jakkolwiek posiedzenia komisji nie są tajne, nie wszystkie wyniki śledztwa przenikły do szerszej publiczności z powodu niechęci prasy amerykańskiej do kompromitowania wielkich finansów, z któremi każde poważne *przedsiębiorstwo* prasowe musi przecież się liczyć.

Największy rozgłos zdobyły rewelacyjne zeznania dwóch najwybitniejszych bankierów Stanów Zjednoczonych. Pierwszy z nich, Charles Mitchell, prezes National City Banku, w wyniku swych zeznań zmuszony był do zrezygnowania ze swego stanowiska. Okazało się bowiem, że, wraz ze stu dyrektorami wymienionego banku, Mitchell dopuścił się szeregu najbardziej wulgarnych nadużyć na szkodę akcjonarjuszów. Między innemi np. Mitchell i towarzysze pożyczali sobie ze swego banku pieniądze bez żadnego zabezpieczenia.

Wielkie wrażenie zrobiło odkrycie, że od początku kryzysu najbogatsi bankierzy świata, przy pomocy mało przekonywujących operacyj buchalteryjnych, nie zapłacili ani centa podatku dochodowego, pobieranego w tym czasie od miljonów osób znacznie uboższych i nawet dziś już zupełnie niezamożnych. Co więcej, okazało się, że uchylanie się ich od podatku dochodowego jest zgodne z literą ustawy, opracowanej przed laty przez Senat pod wpływem wielkich banków. Sama więc już ustawa podatkowa zawierała przywileje dla płatników bogatych.

Również J. P. Morgan, szef znakomitego domu bankowego, pożyczającego pieniądze największym mocarstwom, nie płacił od lat podatku dochodowego.

Kulminacyjnym punktem jego przesłuchania było odczytanie listy osób, otrzymujących lansowane przez bank Morgana papiery na warunkach specjalnych. Owe warunki specjalne sprowadzają się do tego, że osobom uprzywilejowanym bank sprzedawał np. pakiet akcyj po ich cenie nominalnej 20 dolarów za sztukę, kiedy cena ich na giełdzie wynosiła 30 dolarów. Ofiarowanie stu akcyj na takich warunkach równa się daniu możności zainkasowania w gotówce 1000 dolarów.

Niektórzy sądzą, że sprzedanie pakietu akcyj na warunkach wyżej opisanych nie jest jednoznaczne z wsunięciem do napół otwartej dłoni banknotu dol. 1000, ponieważ chodziło tu o kupno akcyj, wartości niestałej ,której ocena pozostawiona jest swobodnemu uznaniu obu stron, przystępujących do tranzakcji. Tak rozumował np. były arbiter Europy Owen Young, broniąc się od zarzutu, że wzamian, za wyrobienie mu pożyczki otrzymał od znakomitego oszusta elektrycznego, zbiegłego później do Grecji, S. Insulla, pakiecik akcyj po cenie dużo niższej od rynkowej. Autor planu Younga twierdził, że akcyj kupionych od Insulla na „warunkach specjalnych" nie zrealizował podczas ich zwyżkowania i z posiadania ich w ten sposób żadnej korzyści nie

odniósł. Zaznaczając więc, że część ludzi doświadczonych w tych sprawach odróżnia kupno akcyj na „warunkach specjalnych" od zwyczajnego przyjęcia łapówki, nie wątpimy, że każdy z naszych czytelników będzie mógł sam najlepiej osądzić, czego się trzymać w tej drażliwej materji.

Lista osób, którym J. P. Morgan odstępował papiery po cenach ulgowych, olśniła komisję senacką nietylko ilością figurujących na niej osób, ale przedewszystkiem ich sytuacją społeczną i urzędową. Na liście tej znajduje się między innymi małomówny paragon cnót amerykańskich, były prezydent Stanów Zjednoczonych Coolidge, *obecny* minister finansów Woodin, b. minister marynarki Adams, agent reparacyjny mocarstw w Berlinie Parker Gilbert, a także szereg osób, stojących dalej od władzy, ale mających wielkie stanowisko społeczne, jak Norman Davis, znakomity lotnik Lindbergh i inni.

J. P. Morgan, znany jako jeden z najbardziej brutalnych i bezwzględnych ludzi w swym zawodzie, kokietował komisję uprzejmością i nieprzymuszoną swobodą manjer. Korespondenci waszyngtońscy donoszą jednak, że po odczytaniu znakomitej listy uprzywilejowanych Morgan wybuchł niepohamowanym śmiechem i przez parę chwil śmiał się serdecznie.

Z czego śmiał się J. P. Morgan?

Czy z tego, że dumny naród amerykański, którego autorytet zdawał się właśnie zwracać przeciw niemu, jest rządzony, częściowo przynajmniej, przez jego ekonomów i totumfackich?

Czy też przyszło mu wówczas na myśl, że nic tak skutecznie — jak ogłoszenie listy uprzywilejowanych — nie ośmiesza etatyzmu i socjalizmu państwowego?

Od niepamiętnych czasów autorytet państwa przeciwstawiał się ekscesom liberalizmu. Do najbardziej rozpowszechnionych należy myśl, że upaństwowienie coraz większej części dochodu społecznego może zapobiec skutkom zbyt wielkiej nierówności majątkowej między obywatelami i tworzeniu się samodzielnych, ciążących na życiu zbiorowem, jawnych lub tajnych potęg ekonomicznych. Zgubnej polityce banków ,poszukujących nadmiernych zysków, przeciwstawiano po wojnie wielokrotnie ideę upaństwowienia instytucyj kredytowych. Upaństwowienie dochodu społecznego, będące najtrudniejszą napozór częścią programów socjalistycznych, posuwało się po wojnie w coraz szybszem tempie. Trwanie i pogłębianie się kryzysu nie umocniło jednak wiary, jakoby dalsze postępy, chociażby nieuniknione, etatyzmu, miały być lekarstwem na wszystkie niedomagania społeczne. Rewelacje amerykańskiej komisji senackiej stawiają to zagadnienie w formie najbardziej drastycznej: gdyby zagniewany na Morgana naród amerykański postanowił dziś upaństwowić jego przedsięwzięcia ,zarząd ich przeszedłby nietyle do narodu, ile do namaszczonych już zgóry oficjalistów tegoż Morgana.

Orosius



ZŁUDZENIA NACJONALIZMÓW

Nacjonalizm jest tworem stosunkowo młodym. Źródłem jego był szlachetny patrjotyzm, wyegzaltowany przez rewolucję francuską, liczy sobie zatem niewiele ponad setkę lat. Nad kolebką nacjonalizmu huczały gromy wojen napoleońskich, a krzepł i rozwijał się przy świście szrapneli ostatniej wojny. Cztery lata rzezi, hekatomby ofiar, jakie pożarł, zdawały się już go dobijać. Od ruin miast i wsi, od zoranej armatami ziemi powiał na Europę nowy wiew pacyfizmu i humanitaryzmu. Można było mieć przez pewien czas złudzenie, że rodzi się już nowa epoka porozumienia ludów, kiedy to niedawni wrogowie, przetarłszy zaślepione nienawiścią oczy, dostrzegli w sobie ludzi.

Stało się inaczej. Trudności ekonomiczne i społeczne powojennego świata sprawiły, że skołatana, a bojąca się straszliwego eksperymentu bolszewickiego ludzkość zaczęła tęsknić do przedwojennych stosunków, co w państwach zwyciężonych oznaczało wkroczenie na drogę najskrajniejszej reakcji Poddały się temu przedewszystkiem Niemcy. Zawiedzione w swych światowładczych nadziejach i rozczarowane do nowego republikańskiego ustroju poszły na lep najdzikszego szowinizmu, okraszonego dla przynęty kilku frazesami radykalno-społecznemi. Od Niemiec, niby od zatęchłego bagniska, niesie się dzisiaj na cały świat trujący zaduch tępego nacjonalizmu.

Domorośli kandydaci na „Führerów" w różnych krajach Europy już zacierają ręce z radości na myśl, jak sobie pohulają w swojej własnej ojczyźnie. Skończy się to na nieziszczalnych marzeniach: nastawienie psychiczne mas nie wszędzie jest identyczne z nastawieniem mas niemieckich.

Jeden z naszych historjografów twierdzi, że nerwy niemieckie nie wytrzymały wygranej wojny 1871 r., czyli że zwycięstwo to uderzyło im do głowy, jak dobre wino, od którego zaszumiało im w mózgu jakąś niepomierną dumą i pychą. Jeśli nie wcześniej, to przynajmniej od tamtego pamiętnego zwycięstwa całe pokolenia wychowywano w atmosferze megalomanji i przeświadczenia o wyższości Niemców nad innemi narodami. Gdy do tego dodamy tryumf duchowy prusactwa nad innemi plemionami germańskiemi, co oznaczało ustawiczną pochwałę rabunku, zaborów i rozboju, zrozumiemy jakiemi ideałami oddychał przeciętny obywatel państwa bojaźni bożej przez lat przynajmniej czterdzieści.

Kiedy w 1914 r. zastępy Wilhelma II, wziąwszy w pacht Boga („Gott mit uns"), ruszały w bój, w żadnym mózgu niemieckim nie zaświtała myśl o możliwości przegrania. Co więcej wszyscy nieomal byli przeświadczeni, że sięgając po władzę nad światem, wypełniają tylko przeznaczenie narodu niemieckiego , który wszak góruje nad przeżartą zgnilizną moralną Francją i nad barbarzyńską Rosją. Cztery lata wojny rozwiały niejedno złudzenie, a klęska odegrała rolę, jakoby uderzenia obuchem w głowę, które na chwilę naród zamroczyło. Zaczął się okres rachunku sumienia i ekspiacji. Nacjonalizm przez pewien czas przywarował, a do głosu doszli ludzie w rodzaju Kellermana i Remarque'a.

Przywarować — nie znaczy wszakże zginąć. Ubrać się w mundur republikański — nie znaczy przejąć

się duchem republiki... „Cesarz odszedł — generałowie pozostali", jak głosi tytuł głośnego reportażu, co przełożone na język zwykły brzmi: zmieniła się dekoracja — duch pozostał ten sam. Pozostali urzędnicy, radcowie, pozostał nadewszystko niemiecki nauczyciel — tak wymownie scharakteryzowany przez Remarque'a w „Powrocie" — i wychowywał nadal młodzież w ideałach szowinizmu.

Tymczasem nadeszły lata kryzysu, załamywania się kapitalizmu, naporu wciąż wzrastającej fali rewolucji społecznej. Wszystko to razem wzięte stwarza tęsknotę do dawnego stanu rzeczy. Nacjonalizm powoli zaczyna opętywać coraz szersze koła, a przedewszystkiem ogarnia młodzież, nie pamiętającą doświadczeń wojny. Nastawiony na najwyższy ton nie potrafi się wyrzec złudzeń, odczuwa tedy głód wiary w to, że przecież przyjdzie ktoś, kto zrealizuje światowładcze ambicje... I oto zjawia się Hitler, który krzyczy, pieni się, zapewnia. Tłumowi zaś nie potrzeba dowodów, jemu wystarczają zapewnienia— jak to już dawno zauważył Anatol France. Możemy powiedzieć, że teraz nerwy niemieckie nie wytrzymały klęski 1918 r., podobnie jak ongi nie zniosły zwycięstwa — naród ogarnęła psychoza... Zhisteryzowane masy biorą marzenia za rzeczywistość, słowa za czyny, gesty za fakty dokonane...

Hitlera nie wyniósł na wyżyny jego intelekt, nie utrzymują go tam sukcesy, bo w polityce zagranicznej robi głupstwa, a w wewnętrznej niepoczytalne hece — on stoi na świeczniku, bo umieściła go tam wiara kilkunastu miljonów ludzi, którzy pragną złudzeń i samoomamienia.

Jest coś zastanawiającego i dziwacznego w tej psychozie mas. Ich szał nacjonalistyczny graniczy już z bluźnierstwem i opętaniem religijnem, które wyraża się w takiej oto modlitwie: „Hitlerze nasz, któryś jest wodzem, święć się dzień zwycięstwa twego. Mądrych swych rozkazów nie skąp nam dzisiaj i rozsyłaj je codzień przez namiestników swoich".

W imię nacjonalizmu uderza się w tradycyjną religję. Rosenberg napada na Chrystusa jako na Żyda, a chrześcijaństwo, jako wykwit ducha żydowskiego, uważa za przesiąknięte miazmatami rozkładu. Któryś z hitlerowców wyraził się niedawno, że od zarazy marxowskiej uchronił Niemcy przedewszystkiem Bóg, a potem jego narzędzie — Hitler.

Cóż podczas tego wszystkiego czyni owo boskie narzędzie?

Snuje dalej nacjonalistyczne mrzonki i oszałamia niemi swoich zwolenników.

Odkopał strupieszałe, megalomańskie ideały starych Prus i usiłuje w nie tchnąć nowego ducha, czem zachwyca nacjonalistów wszystkich krajów do tego stopnia, iż zdawaćby się mogło, że powstaje jakaś nowa międzynarodówka nacjonalizmów.

Teorja rasizmu! Mogła ją wydać jedynie megalomanja i zaślepienie. Cywilizacja europejska jest produktem wszystkich narodów. Przoduje z reguły niemal Francja, ale w różnych czasach różne kraje górują pod względem kulturalnym nad innemi. Podczas wojny trzydziestoletniej i długi czas po niej Niemcy znajdowały się w tak głębokim upadku, że warstwy wykształcone rozmawiały po francusku i jeszcze stary Fritz gardził swoim niemieckim językiem. Dużo się mówi o naszej młodszości cywilizacyjnej, ale w XVII wieku Zachód ze zgrozą patrzył, gdy Polska, wielki kulturalny kraj, stała się łupem „barbarzyńskich" Szwedów.

Teorja wyższości rasy prowadzi w rezultacie do chęci panowania nad światem, czyli do uniwersalizmu. Mogą się tą myślą pieścić nacjonaliści różnych krajów, w rzeczywistości jednak idea ta jest pogrzebana od czasów upadku zachodniego imperjum rzymskiego. Kilka wieków średniowiecza zmarnowano na wskrzeszenie monarchji uniwersalnej, lecz stworzono tylko jakąś dziwaczną namiastkę, która jako przeżytek kołatała się w postaci pustego dźwięku „Cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego", aż do początków XIX w., gdy wreszcie, jak truchło kopnięte nogą, legła u stóp zwycięskiego Napoleona.

Wszelkie próby stworzenia drogą podboju uniwersalnej monarchji europejskiej w czasach nowożytnych kończyły się fiaskiem. Karol V, którego los postawił na czele państwa, gdzie „słońce nie zachodziło", nie mógł utrzymać nietylko jedności politycznej, ale i religijnej swojej monarchji i schodził ze świata rozgoryczony, kilka ostatnich lat spędziwszy w pokoju, obitym czarnym kirem, na gorzkich rozmyślaniach. Jakże ciężkie musiały być ostatnie chwile jego syna, Filipa II, gdy konał w ponurym Escorialu ze świadomością, iż oderwą się od jego ojcowizny kacerskie Niderlandy. Gdy „król—słońce" — najpotężniejszy wszak monarcha na przełomie XVII i XVIII wieku chciał zjednoczyć w rękach Burbonów Francję i Hiszpanję, rozpętał taką wojnę, że po kilku latach jako złamany, trzęsący się starzec pisał do następcy tronu: „Synu mój, staraj się zachować pokój z sąsiadami... Kochałem zbytnio wojnę — nie naśladuj mnie w tem!" Samemu Napoleonowi nie starczyło genjuszu na utrzymanie uniwersalnego państwa w Europie dłużej, niż przez lat kilkanaście!

Na nic jednak doświadczenia historji dla nacjonalistów! Mussolini marzy o wskrzeszeniu imperjum rzymskiego, Hitler upaja się własnym głosem, jak cietrzew, gdy majaczy o „rasie najwyższej, która opanuje świat".

Nacjonaliści mniejszych państw, którym trudno marzyć o zdobyciu przewagi nad światem, zachwycają się najbardziej temi pociągnięciami. Nic dziwnego! Szowiniści wszystkich krajów lubią opowiadać o wielkich przeznaczeniach swego narodu. Chciałoby się odpowiedzieć im słowami jednego z naszych najwybitniejszych socjologów, który twierdzi, że państwo, jak wszelki organizm, powstaje, rozwija się i owocuje, t. j. wydaje cywilizację.

Jaka zaś cywilizacja może się rozwijać w ciemnicy niewoli, rządzonej przez ludzi tępych, z jednem uczuciem w duszy: wszystko co nie nasze — to ohydne i godne zagłady. Jakie myśli mogą powstać pod wtór jęków bitych i torturowanych przeciwników politycznych, innoplemieńców i opozycjonistów?

Oczywiście, że wzgląd na cywilizację nie powstrzyma nacjonalistów od chęci eksperymentowania, bo ich świadomość zamknęła się na siedem pieczęci przed wszelką myślą o ideałach ogólno-ludzkich i cywilizacyjnych. Nie to więc będzie przyczyną, że szał nacjonalizmu nie ogarnie całej Europy. Dziki nacjonalizm nie odbędzie swego triumfalnego pochodu po świecie z tego powodu, że nie wszystkie kraje mają podobne warunki, jak Niemcy powojenne.

Nie wszędzie masy są tak zhisteryzowane i tak zdolne do poddania się psychozie.

Kiedy hitleryzm zadusi się we własnej bezsilnej nienawiści — rozwieją się i gdzieindziej złudzenia nacjonalistów i w inną, jaśniejszą epokę wkroczą dzieje Europy.

Jan Waśniewski

ODGŁOSY

PSYCHOZA SEZONOWA

Dwa razy do roku — na wiosnę i na jesieni — wybucha psychoza sezonowa, której podlegają dziesiątki tysięcy mieszkańców stolicy. Ogarnia ona wszystkie warstwy społeczne, szerząc prawdziwe spustoszenie tam, na dole, choć nie szczędzi także i „szczytów".

Totalizator!

Jak to wszystko ładnie i niewinnie wygląda! Towarzystwo zachęty do hodowli koni, chcąc (jakież to jasne i zrozumiałe!) sprawdzić postępy tej hodowli i dać możność dokonania porównawczej oceny wyhodowanych rumaków, urządza dwa razy do roku (w sumie ogólnej w przeciągu pięciu miesięcy) wyścigi z nagrodami nieraz wielce cennemi dla zwycięskich stajen. Te nagrody — to właśnie owa „zachęta". Punkt ciężkości wyścigów spoczywa na stolicy, ale i niejedno miasto prowincjonalne idzie za jej przykładem; nawet w Zakopanem zimą, po śniegu, sprawdza się postępy hodowlane i wypłaca nagrody dla zachęty. Gorliwość chwalebna, „zachęta" nie byle jaka — wszystko w porządku!

A jednocześnie z owemi zabiegami sprawdzającemi związuje się nierozerwalnym węzłem ciekawe przedsiębiorstwo: totalizator. Niechże sobie panowie „zachęcani" hodowcy robią między sobą zakłady: czyja stajnia lepsza — twoja czy moja? kto ma silniejsze nogi, zdrowsze płuca, mocniejsze serce — twój koń czy mój? Niechże pobawią się panowie hodowcy — przecież to wszystko w porządku.

Ale ta zabawa w zakłady nęci i zachęca nietylko panów z „Towarzystwa zachęty", ale także i tych, którzy z hodowlą koni nie mają nic wspólnego, którzy się ani na hodowli, ani na koniu wogóle nie znają — natomiast znają się dobrze, bo tkwi ona w nich i szybko bardzo nawskroś przenika, na żyłce hazardu. Totalizator stał się „zabawą" nietylko uprzywilejowanych, ale zabawą popularną wśród najszerszych mas, „zabawą" demokratyczną.

Już w przeddzień każdego „zabiegu" wyścigowego najpopularniejszą, najpoczytniejszą lekturę dla mas stanowi program wyścigów — czerwony, biały, zielony... W cukierniach, knajpkach siedzą zaczytani samotnicy, studjujący wytrwale w ciągu długich godzin listę jutrzejszych czworonożnych zawodników. Czytają, wczytują się, robią notatki, wyciągi, zestawienia. A potem tworzą się całe posiedzenia, w których ożywiona dyskusja toczy się dokoła najkardynalniejszego zagadnienia chwili: czy jakiś Imperator jest „w formie", czy jakiś Giermek nie będzie czasem „kryty", czy tor będzie elastyczny, a może ciężki, a może dobry. To są te długie „nocne rodaków rozmowy" w sezonie wyścigowym.

A w sam dzień zawodów proszę przyłożyć ucho do gwarów ulicy. Szofer na postoju, dozorca domu w bramie, rzemieślnik przy swym warsztacie, urzędnik w biurze, nawet panienka przy jakimś Remingtonie, ba! nawet wyrostek-gazeciarz o niczem innem nie myślą i nie mówią, jak tylko o tem, czy w gonitwie drugiej nie będzie przypadkiem „fuksa", a w gonitwie czwartej czy „typowany" przez wszystkie dzienniki „faworyt" przyjdzie pierwszy do mety.

Proszę zobaczyć, jak w dzień wyścigów wygląda ulica Polna, od Politechniki począwszy aż do końca — wzdłuż parkanu, okalającego Pole Mokotowskie. Przy kasach już na godzinę przed rozpoczęciem gonitw „ogonki" bez końca; na chodnikach faluje istny tłum; ten i ów pożądliwem okiem zagląda na tor przez szparę w parkanie: ten i ów spiera się aż do zachrypnięcia, że „jedynka" — to „pewniak", a „szóstka" — to „łach".

I proszę zobaczyć, co się dzieje za parkanem, na torze. Zwłaszcza na tanich, tak zwanych demokratycznych, złotówkowych miejscach. Ścisk nie do opisania, całe rodziny, matki z dziećmi na rękach zbiegły się tutaj; ciągłe wzajemne szturchańce, przeciskanie się przemocą do kas totalizatorowych; głośno wykrzykiwane zachęty do „dostawienia" się do jakiegoś „numeru". Kogo tam niema! Są przedstawiciele wszystkich warstw społecznych od podupadłego arystokraty czy burżuja do najprawdziwszego proletarjatu. Ruchy nerwowe, podniecone; głos albo stłumiony do nienormalnego szeptu albo podniesiony do niesamowitego krzyku; oczy roziskrzone żądzą wygranej lub przygaszone niepowodzeniem; wyraz twarzy, spojrzenie pełne melancholji albo nienawiści.

Chciałoby się wołać wielkim głosem: czy to tak musi być koniecznie? skądże to sankcjonowanie hazardu, uprawnianie demoralizacji? Bo że tego rodzaju „zachęcanie" do „hodowli koni" jest wielkim aktem demoralizacji — to jest przecie jasne najzupełniej.

Bo jakże może pracować produkcyjnie rzemieślnik czy urzędnik, skoro cała jego uwaga w sezonie wyścigowym skierowana jest ku „typom" końskim? Jakże może spełniać swe obowiązki, skoro myśl jego zaprzątnięta jest jedynie zagadnieniem: skąd zdobyć potrzebną do gry sumę pieniędzy? A te wszystkie znane i nieznane defraudacje, tragedje rodzinne, zamachy samobójcze — czyż one nie mówią nic o „moralności" wyścigowej gry?

Jeżeli już koniecznie muszą istnieć wyścigi z nieodłącznym ich towarzyszem, totalizatorowym hazardem — to niechże będą one dostępne dla tych „wybranych", dla których sto złotych więcej czy tysiąc mniej nie stanowi różnicy. Ale niech nie biorą w nich udziału ci, dla których każda złotówka jest kwestją: być — albo nie być! Nie „demokratyzować" hazardu, nie obniżać ceny biletów totalizatorowych — ale przeciwnie podnieść je do takiej wysokości, na którą pozwolić sobie będą mogli tylko ci „wybrani"!

Ale wtedy nie będą kasy totalizatora wchłaniać dziennie po pół miljona złotych; wtedy panowie z „zachęty" będą może smutni. Ale „nizinom społecznym" zato będzie lepiej.

Zygm. Michałowski



LIST EGONA ERWINA KISCHA

Znany pisarz, zwany „latającym reporterem" E. E. Kisch wystosował do pisarza niemieckiego Gotfrieda Benn'a, który przyłączył się do ruchu hitlerowskiego, list, z którego cytujemy wyjątki:

...„Otrzymał Pan „z okolic Marsylji" list od pisarza — emigranta i odpowiedział Pan przez radjo i na łamach prasy. Cytuje Pan z listu zdanie, w którem jest mowa o emigrantach, przebywających w „kąpielowych miejscowościach Lyonu i hotelach Zurichu, Pragi i Paryża". Nie, panie dr. Benn, nikt tego nie napisał. Otrzymał Pan list z francuskiej osady rybackiej.

„Rękopisy pisarzy niemieckich, przedstawiające wiele lat pracy, zniszczono; dzieła ich znalazły się na indeksie lub płonącym stosie. Wydawcy zakazanych utworów znaleźli się w obliczu materjalnej klęski. Niemożliwą stała się współpraca „nieprawowiernych" autorów w pismach i perjodykach trzeciej Rzeszy. Skąd czerpaliby tedy środki na opłacenie rachunków hotelowych oraz podróże na Rivierę? Pan sądzi, że zwiedzają oni plaże i kurorty, podczas gdy w rzeczywistości nie wiedzą na jakiem posłaniu jakiego pokoju spędzą następną noc. Jedynym ich luksusem jest satysfakcja, że nie pozwolili zdeptać swojej niezależności ludzkiej.

...„Wypowiada Pan pogląd, że emigranci utracili prawo mówienia o Niemczech: „Nie słuchajmy uciekinierów, prawo głosu mają jedynie ci, co przeżyli wstrząs ostatnich miesięcy".

„Emigranci również przeżyli emocje ostatnich miesięcy, lecz innego rodzaju: bici, brutalnie budzeni wśród nocy i pędzeni do aresztu. Ćwiczenia wojskowe, łańcuchy na nogach i rękach starych myślicieli, którym wiek nie pozwalał na zbyt prężną postawę, terror więzienny... Dla innych: skok przez okno, ucieczka przez ogród, stryk wisielczy...

„Czytaliśmy, tak jak i Pan, dzienniki. Informowały nas o masowych aresztowaniach przyjaciół, o „samobójstwach w celi", o więźniach, zabitych podczas „usiłowania ucieczki", o „trupach, znalezionych na peryferjach", o bojkocie, o prześladowaniach Żydów, o manifestacach studentów przeciw literaturze, o spaleniu książek. Czytaliśmy prasę Panu chyba nieznaną, zabronioną w Niemczech, która ogłaszała „legendy o okrucieństwach", legendy, niestety prawdziwe, oparte na faktach.

„A cóż rzec o pańskiem oświadczeniu: „Jako lekarz stykam się stale z wielu robotnikami, dawnymi komunistami, którzy zewsząd oświadczają mi, że ich położenie lepsze jest niż w przeszłości". To jest dla nas nowe. Dotąd wiedzieliśmy, że „dawni komuniści lub socjaliści" gnani byli do koszar, do więzień, do obozów koncentracyjnych — nie jeden, nie stu, nie tysiąc, lecz dziesiątki tysięcy. Czytaliśmy, że pod nazwą „służby pracy" wprowadzono przymusową pracę, że cena masła wzrosła z 1.05 mk. do 1.50 mk., że tłuszcz i margaryna stały się bezcenne, że spożycie mięsa zmalało. Czytaliśmy, że odebrano zadłużonym zarobki i prawa, a robotnicy utracili prawo zrzeszania się.

„Poinformowała nas o tem prasa regime'u. Pozatem słyszeliśmy oświadczenie w radjo dr. Goebbelsa, że 10.000 „psów gończych" (jego własne słowa), wyruszyło na odkrycie gniazd marxistowskich. Czyż robotnicy mogą być zadowoleni z drogi, osaczonej zewsząd armją szpiegów?".

SAMOKSZTAŁCENIE NAUCZYCIELSTWA

W ciągu dwóch miesięcy wakacyjnych każdego roku odbywają się w Polsce dziesiątki kursów państwowych dla nauczycieli szkół powszechnych, dziesiątki kursów Związku Nauczycielstwa Polskiego i dziesiątki kursów, urządzanych przez instytucje społeczne.

Wakacje nie są tylko wypoczynkiem, a często nie są nim wcale. Sześć, a nawet siedem godzin wykładów dziennie, samodzielne zajęcia, niewygody pomieszczenia, okres upałów — tego odpoczynkiem nazwać nie można. Podczas wakacyj nauczycielstwo odświeża umysły, gromadzi nowe zapasy sił i wiedzy, poddaje rewizji dotychczasowe poglądy, pogłębia swój stosunek do rzeczywistości wogóle, a do rzeczywistości polskiej w szczególności, wzmacnia wolę pracy i wytrwania.

Nauczycielstwo szkół powszechnych przejawia niespotykany w żadnym innym zawodzie, wciąż potężniejący, głęboki nurt samokształcenia. Ten pęd jest dla społeczeństwa i państwa polskiego najzupełniejszą gwarancją, że obowiązki swe spełnia nauczycielstwo z ogromnym „naddatkiem". A trzeba pamiętać, że w obecnym okresie wprowadzania w życie nowego ustroju szkolnictwa polskiego i nowych programów z każdym rokiem przybywają coraz to inne i coraz liczniejsze obowiązki. Cała Polska znajduje się na przełomie pod względem organizowania szkół. Znaczenie tego przełomu rozumie i docenia każdy nauczyciel szkoły powszechnej.

Państwo organizuje i prowadzi kursy wakacyjne, roczne Wyższe Kursy Nauczycielskie, Instytut Nauczycielski, Instytut Robót Ręcznych i Rysunków, ale te formy nie mogą objąć wszystkich nauczycieli, którzy chcą się kształcić zawodowo i ogólnie ponad ten zakres, jaki daje matura szkoły średniej (seminarjalna i gimnazjalna). Tym, którzy chcą się kształcić, a nie mogą się dostać na roczny Wyższy Kurs Nauczycielski, przyszedł z pomocą Zarząd Okręgu Warszawskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego, który zorganizował i od listopada roku 1931 prowadzi Korespondencyjno - Wakacyjny Wyższy Kurs Nauczycielski. Inicjatorem tej formy samokształcenia i kierownikiem kursu jest p. Stanisław Wiącek.

Praca polega na tem, że zakres materjału, jaki na rocznym Państwowym W. K. N. jest przerabiany w ciągu jednego roku szkolnego, zostaje rozłożony na okres trzech lat i w każdy roku jest przerabiana trzecia część materjału. Nauczyciel, zapisany na kurs, otrzymuje przed listopadem program tej części materjału, jaką zamierza w ciągu roku przestudjować. A przerabiany jest materjał W. K. N. w ciągu roku szkolnego, kiedy nauczyciel prowadzi normalne zajęcia w szkole. Program zawiera pewną ilość tematów (zwykle jeden z każdego przedmiotu na miesiąc). Przy temacie jest podany wykaz książek, na podstawie których ma być praca opracowywana, a także wyjaśniające temat uwagi profesorów. Opracowany referat przesyła słuchacz do kierownictwa kursu w Warszawie, kierownictwo

przesyła pracę profesorowi specjaliście do poprawienia, po poprawieniu praca (z odnotowanemi uwagami i oceną) jest odsyłana słuchaczowi, który ją w miarę potrzeby uzupełnia i przyswaja sobie jej treść. Poza wykonaniem pewnej ilości prac pisemnych musi każdy nauczyciel przestudjować kilka podręczników podstawowych i kilka dzieł specjalnych (monografij) z wybranej gałęzi wiedzy. Słuchacz w ciągu roku może się porozumiewać korespondencyjnie ze swoim profesorem i rozstrzygać nastręczające się wątpliwości. W czasie feryj zimowych słuchacze zjeżdżają się na tygodniowy kurs do Warszawy, gdzie następuje wzajemne poznanie się profesorów i słuchaczów podczas prowadzonych wykładów. Ważnym etapem tej pracy jest kurs miesięczny, odbywający się podczas wakacyj letnich. Po kursie słuchacze systematyzują tylko materjał, przerabiając trudniejsze partje, powtarzają, a w październiku składają egzamin przed Państwową Komisją dla Eksternów przy Państwowym W. K. N. w Warszawie. Po egzaminie przystępują słuchacze do następnej części materjału, a nowi przerabiają grupę pierwszą.

Taka forma pracy jest nowa na naszym terenie. Inicjatywa wyszła od nauczycielstwa. Kurs wakacyjno - korespondencyjny trwa dopiero drugi rok. W ubiegłym roku szkolnym kurs posiadał charakter eksperymentalny, ale okres eksperymentowania został zakończony pomyślnie, bowiem w październiku ub. roku około 85% kandydatów złożyło egzamin przed państwową komisją egzaminacyjną. Kurs złożył swój egzamin życiowy. Rok eksperymentowania otworzył nowe horyzonty dla pracy samokształceniowej.

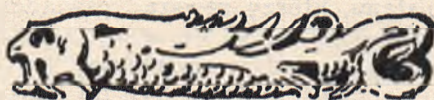
Nauczycielstwo samo pokrywa koszty kursu: płaci miesięcznie od 10 do 15 zł., ponosi koszty przejazdów do Warszawy i utrzymania w Warszawie. Państwo przychodzi nauczycielstwu z pomocą, bowiem na okres wakacyj przejmuje prowadzenie miesięcznego kursu i pokrywa jego wydatki administracyjne. Jest to pomoc, a jednocześnie dowód zaufania do poczynań nauczycielstwa i jego organizacji — Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Od 19 czerwca do 19 lipca b. r. odbywał się w Warszawie Państwowy Wakacyjny W. K. N., który był etapem rocznej pracy korespondencyjnej. Kurs zgromadził rekordową liczbę około 400 nauczycielek i nauczycieli z obszaru całej Polski, nawet z terytorjum Wolnego Miasta Gdańska. Program kursu obejmował naukę o Polsce, pedagogikę, psychologję, historję, język polski, matematykę, geografję, fizykę i zagadnienia programowo-ustrojowe, zaznajamiające nauczycielstwo z ustrojem szkolnictwa, wprowadzanym w życie i z nowemi programami, które mają być wprowadzone od nowego roku szkolnego. Kurs wakacyjny miał trzy wydziały: *pedagogiczny* o trzech jednakowych grupach; *historyczny*, mający grupę historyczno - polonistyczną i historyczno - geograficzną, i *matematyczny* z grupami: matematyczno-fizyczną i matematyczno - geograficzną.

Wykłady były prowadzone przez wybitnych specjalistów, dobranych z profesorów wyższych uczelni i zakładów stołecznych. Na wydziale pedagogicznym wykładali: na pierwszej grupie: dr. Ad. Zieleńczyk — prof. Wolnej Wszechnicy, mag. Włodz. Skłodowski — prof. Pedagogjum im. Konarskiego w Warszawie, Fran. Zawadzki — prof. Państwowego W. K. N. w Warszawie; na drugiej grupie: dr. Czesław Babicki—prof. Wolnej Wszechnicy, dr. D. Stenbarg — starszy asystent wydziału filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego, Fr. Zawadzki; na trzeciej grupie: Ben. Kubski — prof. Instytutu Nauczycielskiego, Ir. Raczyńska — prof. Seminarjum dla Nauczycielek Przedszkoli, dr. Fran. Skibiński — prof. gimnazjum Kreczmara; zagadnienia programowo- ustrojowe we wszystkich grupach wydziału pedagogicznego wykładał Stanisław Wiącek, kierownik Kursu. Na wydziale historycznym wykładali: na grupie historyczno - polonistycznej: dr. Fr. Skibiński, Stef. Saski, — prof. Państw. W. K. N., Andrz. Boleski — prof. Wolnej Wszechnicy; na grupie historyczno-geograficznej: Fr. Zawadzki, Józefa Łysakiewiczówna — prof. Semin. Naucz. im. Orzeszkowej w Warszawie; zagadnienia programowo - ustrojowe na obu grupach wydziału historycznego wykładał Stanisław Machowski, redaktor „Głosu Nauczycielskiego". Na wydziale matematycznym wykładali: na grupie matematyczno - filozoficznej: Hornowski Michał — prof. Pedagogjum im. Konarskiego, Paczoski Lucjan — dyrektor Muzeum Pedagogicznego i prof. W. K. N., Jarosław Chełmiński — dyr. II Gimnazjum Miejskiego; na grupie matematyczno - geograficznej: Wład. Krasiński — prof. Semin. Naucz. w Ursynowie, Czesł. Jaksa - Bykowski — prof. gimnazjum; zagadnienia programowo - ustrojowe na obu grupach wydziału matematycznego wykładał Stanisław Dobraniecki — sekretarz redakcji „Pracy Szkolnej".

Zajęcia kursu były uzupełniane i urozmaicane licznemi wycieczkami po Warszawie i okolicy. Wycieczki mają na celu poznanie zabytków historycznych i urządzeń oraz instytucyj kulturalnych stolicy. Instytut Propagandy Sztuki, Zachęta, Wilanów, Zamek Królewski, muzea, Bielany, Zoo, gmach Min. W. R. i O. P., Stare Miasto, lotnisko, cytadela, stacja radjowa, Łazienki — oto pobieżnie wyliczone punkty programu uzupełniającego. Trzeba dodać jeszcze wzmiankę o teatrach. Uczestnicy kursu byli w teatrach: Polskim, Kameralnym, Letnim i Narodowym. Pozatem odwiedzano indywidualnie inne teatry stołeczne (Ateneum, Rex, 8.30, Studjo im. Żeromskiego).

Od społeczeństwa należy się nauczycielstwu uznanie i słuszna ocena tych wysiłków. Trzeba umieć ocenić wytężoną pracę nauczycielstwa w czasie każdych wakacyj, gdyż kształci się ono dobrowolnie.



Przyjaciół naszego pisma prosimy o podawanie nam adresów osób, którym należy posyłać okazowe (bezpłatne) numery „Epoki"

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

PRÓG PAMFLETU PRZED ŚWIĄTYNIĄ ZNACHORÓW

Celem lecznictwa jest niesienie ulgi w cierpieniach. U podstawy powołania lekarza spoczywa walka z chorobą, lecz walka ta nie ogranicza się do usuwania przyczyn cierpień fizycznych, ale i do takiego oddziaływania w sensie moralnym, iżby chory przez odbieranie otuchy, współczucia, życzliwości i t. d. ulegał sugestji, że wszystko, co czyni lekarz, obrócone jest ku jego dobru i wyzdrowieniu. Powstaje stąd u chorych pewna odmiana wiary indywidualnej, a nawet wiary zbiorowej w danego lekarza; jeden jest dobry, drugi — zły, niezależnie od ich jednakowych kwalifikacyj naukowych. Od lekarza wymaga się zdolności niemal cudotwórczych, i jeżeli nie pomógł choremu, dyskwalifikuje się jego przygotowanie, wiedzę, sam on zaś staje się przedmiotem drwiny, porzuca się go i idzie do innego lekarza. Jest to droga, u której wylotu wznosi się świątynia znachorów i owczarzy, którzy lepiej leczą i „napewno" uleczą.

Książka p. Pawła Garta p. t. „Zachorowałem"*) ujęta jest w formę pamiętnika. Jest to swego rodzaju epopea cierpień nerkowych, obrazująca bohaterskie zmagania się pacjenta i lekarzy z chorobą. Dzień po dniu opowiada chory przebieg swoich cierpień, bada stopień ich natężenia, analizuje ich stany, podpatruje, poddaje bezlitosnej krytyce zabiegi lekarzy, ich djagnozy, których nie są pewni i które ustawicznie zmieniają, drwi z ich badań, opukiwań, pomiarów, punkcyj, prześwietleń, które wydają się mu niepotrzebne, bezskuteczne, wreszcie zgnębiony, wyczerpany, rozgoryczony ten protagonista tragedji nerkowej odwołuje się do głośnego, cieszącego się wziętością znachora.

Szczęściem, że chory, i wolno się domyślać — człowiek światły nie stwarza uogólnień, nie stara się przerzucić całego swego sarkazmu i drwiny na cały świat lekarski, może nie spostrzegając nawet, że już się znajduje na progu pamfletu, nieledwie na stanowisku, ośmieszającem wiedzę medyczną i wymagającem od niej cudotwórczych własności. Z książki nadto nie widać, iżby zgorzkniały chory uznawał, że medycyna jest tylko nauką, będącą jeszcze niezmiernie daleką od wypowiedzenia swego ostatecznego słowa.

W notatkach dziennych chorego dość często czerwoną nicią przewija się sprawa honorarjów, rzucająca światło na szarlatańskie czy kupieckie metody lekarzy, na ich wystudzony utylitaryzm, wyrachowanie pieniężne, nie licujące z idealnem powołaniem zawodu, którego przedstawiciele nieść powinni ulgę w cierpieniach i, nie myśląc o sobie, toczyć wzniosłą walkę ze śmiercią. Niewątpliwie liczne przykłady potwierdzają metody wyzysku, opisywane przez p. Pawła Garta, ale dodać też wypada, iż wyzysk ten nie ogranicza się wyłącznie do zawodu lekarskiego, lecz jest zjawiskiem powszechnem, obowiązującem we wszystkich innych dziedzinach życia praktycznego. Żyjemy pod panowaniem, tyranją i zarazem urokiem pieniądza, nawet wybór zawodu dokonywa się niemal wyłącznie pod działaniem siły sugestywnej złotego cielca, zaś wyższe wykształcenie uznawane jest jako źródło robienia błyszczącej karjery, zdobywania posagów i fortun, zwłaszcza wśród filisterji, parwenjuszów i plutokracji. Gdyby lekarz np. spróbował opisać dzieje swego procesu sądowego i swoje doświadczenia, porobione z prawnikami, — niewątpliwie teżby dostarczył wymownego materjału, charakteryzującego metody wyzysku adwokackiego; lub ksiądz, budujący świątynię — swoje doświadczenie z budowniczymi, albo nawet ci ostatni z księdzem w wypadkach śmierci osób bliskich, kiedy powstaje sprawa odprowadzenia ich na miejsce wiecznego spoczynku. Stąd jednak bynajmniej nie wynika, jakkolwiek wielka jest siła magnetyczna pieniądza, która wyciska swe nikczemne piętno na stosunkach międzyludzkich, że niema np. lekarzy bezinteresownych, ujmujących swój zawód jako posłannictwo, albo, że niema obrońców, zwłaszcza politycznych, którzy, nie myśląc o korzyściach osobistych, spełniają swój obowiązek na posterunku sprawiedliwości.

Jednak wobec ciężko chorego trzeba być bardzo wyrozumiałym. Stosunek jego do świata jest inny, niż ludzi normalnych i zdrowych, w pełni sił duchowych i zdolności objektywnego myślenia. Egoizm cierpiących i chorych wpędza otoczenie w krąg swoich kaprysów, przywidzeń, majaczeń, narzekania ich wynikają z bezwładu, przykucia do łoża i opierają się przytem na prawach współczucia i litości.

Ale rzecz cała napisana jest z wielką przenikliwością, przekonywująco, plastycznie, z poczuciem prawdy psychologicznej. P. Paweł Gart dobrze podpatrzył stany duchowe chorego, któremu wszystkie zabiegi lecznicze wydają się zbyteczną torturą, udręką, zwłaszcza wobec niepewności życia. Wtajemniczeni twierdzą, że autor opisał swoje własne przejścia.

Książka odsłania skrawek życia, ułamek cierpienia, jest to jedno łoże szpitalne. Ale wobec cierpień miljonów na dzisiejszych pobojowiskach epoki, nie można tej jednej chorej nerki jednego człowieka podnosić do godności symbolu, zwłaszcza, gdy cały glob współczesny zwija się w konwulsjach męczarń, pragnąc by wieczność przesunęła ją naprzód chociaż o jedno mgnienie.

Lucjusz

*) *Paweł Gart:* „Zachorowałem...", Warszawa, 1933. Nakładem Księgarni F. Hoesicka, str. 210.

MATKA

W całej, dotychczasowej twórczości Asza, przewija się problem ideału kobiety, której wielka dobroć płynie z pierwiastków macierzyńskich.

W I-ej i II-ej części trylogji Asza („Petersburg", „Warszawa", „Moskwa") dużo miejsca zajmuje postać pani Hurwiczowej, serdecznej, dzielnej, niezmordowanej bohaterki powszedniego dnia. Pracuje ona ciężko dla dzieci i dla domu, pomaga biedakom, z którymi los ją zetknął i czyni to wszystko w sposób, który niezbicie dowodzi, że jest ona człowiekiem pełnowartościowym, stanowiącym pozycję dodatnią w ogólnym bilansie społecznym. Jej dobroć nie ma w sobie nic z ckliwego sentymentalizmu, tak samo jak pomoc, której udziela ludziom, nie ma nic z filantropji.

Ideałowi macierzyństwa Asz poświęcił powieść p. t. „Matka" (wyd. „Roju" w dobrym przekładzie M. Kanfera). Jedna z dwóch głównych bohaterek książki — Sara Rywka — jest nietylko najlepszą z matek dla gromady swoich dzieci, lecz — odmawia sobie wszelkiego spoczynku także i poto, by jej mąż mógł spokojnie odczytywać „Torę". W rezultacie ostatecznym umiera przedwcześnie, poprostu z wycieńczenia.

Szacunek ciemnej Sary Rywki dla tego, co jest w jej pojęciu „światłem wiedzy", może być wzruszający. W ubogich rodzinach żydowskich żony zamęczają się dla swoich „uczonych" mężów, pełnych wiedzy bardzo problematycznego gatunku. Tymczasem Asz wyraźnie apoteozuje tę harówkę i właśnie owa pochwała ma w sobie coś odpychającego, podczas gdy uznanie dla mądrej celowości czynów pani Hurwiczowej budzi sympatję czytelnika nietylko do bohaterki, lecz i do autora.

Córka Sary Rywki, Dwojra, kocha młodego rzeźbiarza. By niczem nie wiązać artysty — skazuje się na operację, pozbawiającą ją dziecka, które pragnie mieć. Co więcej, nie bierze z kochankiem ślubu, zarabia na siebie i na niego, wreszcie, gdy stwierdza, że zajął się inną kobietą — usuwa się z jego drogi. Postępowanie Dwojry, a nawet jej odejście płynie właśnie z macierzyńskiego uczucia do ukochanego.

Przed postawą Dwojry — Asz nisko schyla czoła. Zapewne, chwali się kobiecie, gdy odchodzi sama od kochanego mężczyzny, który w stosunku do niej ochłódł, — nie czeka zaś, aż on ją o to poprosi. Jednak, zwyczajna miłość własna, jako główny motor tego czynu, wydaje się znacznie zdrowsza od owej „macierzyńskości". Znakomicie osłabia przeżyty szok i, tem samem, ułatwia kobiecie wtulenie się w inne ramiona. Z historji Dwojry należałoby może wysnuć inny morał, niż gloryfikację macierzyńskiej tkliwości młodej dziewczyny dla młodego chłopca. Możnaby naprzykład dojść do wniosku, że jeśli traktuje się męża lub kochanka jak rodzonego syna, to trzeba go w konsekwencji z kimś ożenić.

W swojem, zresztą dosyć dyskretnem, moralizatorstwie, książka Asza ma pewien posmak naiwności. Wrażenie to potęguje styl, którym jest napisana: gładki, obrazowy, wiernie oddający sposób wyrażania się niezasymilowanych Żydów, a jednak, nieco zbliżony do tego, którym opowiada się bajki grzecznym dzieciom. Ale jest w tej książce jeden rozdział naprawdę bardzo piękny, rozdział o Henochu i jego rodzicach. Zamyka on historję pewnej rodziny żydowskiej, opowiedzianą mimochodem. Mówi o wielkiej bliskości pewnego ubogiego małżeństwa, o parze ludzi, którzy byli dla siebie tak prawdziwie wszystkiem, że zupełnie nie potrzebowali sobie o tem mówić. Śliczny jest moment, gdy poważny, „uczony" talmudysta rąbie drzewo, rozpala ogień, gotuje herbatę, nakrywa do stołu, by pomóc swojej żonie, zapracowanej poza domem. W tych najprostszych czynnościach kryje się coś z najlepszego uśmiechu życia.

Na psychikę dziecka wpływać mogą nietylko poszczególne cechy jego rodziców, ale i stopień ich wzajemnej miłości. To też Henoch jest jasnym, silnym chłopcem, który idzie prosto do celu i ma ludziom tak wiele do darowania, że stać go nawet na przekreślenie osobistego uczucia w imię tego, co młodzieńczo nazywa swoją „świętą sprawą".

Książka Asza, pomijając wszelkie jej moralne sensy, jest lekturą tem pożyteczną, że zaznajamia czytelnika w sposób barwny, obrazowy i nader przystępny z jednem jeszcze środowiskiem, z jednym jeszcze odcinkiem ludzkiej biedy.

Marja Milkiewiczowa



TEATR

»DZIWAK« A. AFINOGENOWA W TEATRZE »NOWE ATENEUM«

Jeszcze jedna sowiecka sztuka „dyskusyjna". Ta kategorja sowieckich utworów scenicznych należy do najbardziej monotonnych i nużących. Treść tych dyskusyj znamy już na pamięć, a ich poziom — przygnębia nas, jeśli nie irytuje. Na scenie ciągle— manekiny i manekiny. Inteligent czy analfabeta, profesor czy robociarz, bezpartyjny czy partyjny, młody czy stary — wszyscy ubodzy myślą, niewolnicy paru tez, haseł, drogowskazów. Intelektualne kataryнki. Żywe broszurki agitacyjne.

To jedno. A powtóre — w sztukach tych mimo wszystkie okrzyki ideowe — góruje przygnębienie, smutek, melancholja, znaki straszliwie trudnego życia, płynącego w nieustannych udrękach, niebezpieczeństwach i w okropnej biedzie.

„Ciężkość" tych sztuk męczy nas jeszcze bardziej, jeśli demonstrują sprawy już przebrzmiałe, już nieaktualne, jak właśnie utwór Afinogenowa (tak samo nieaktualną jest sztuka „Mieszkanie Zojki" grana w teatrze Letnim). „Problemat" bezpartyjnego „speca" już w Z. S. S. R. nie istnieje.

Jedna z klątw sekciarstwa minęła. Afinogenow przekonywał publiczność sowiecką, że „spec", entuzjastycznie oddany sprawie socjalistycznego budownictwa, nie powinien być krzywdzony, *nawet wówczas*, jeśli nie jest członkiem partji. Tej „tezie" (która nie była bynajmniej pewnikiem dla sekciarzy bolszewickich) służą wszystkie melodramatyczne perypetje sztuki i cała galerja manekinów.

Trudno zrozumieć, w jakim celu teatr „Nowe Ateneum" wystawił ten polityczny melodramat. Atrakcyjność sztuk sowieckich jest coraz słabsza. Przekonaliśmy się tyle razy, że sowiecka literatura sceniczna stoi na bardzo niskim poziomie, o wiele niższym, aniżeli beletrystyka. W beletrystyce sowieckiej mamy kilka rzeczy kapitalnych, w literaturze teatralnej — mizerne kataryнki. Zastanawiający jest kontrast pomiędzy bujnym rozwojem sowieckiej sztuki teatralnej — w technice, inscenizacji, reżyserji, a ubóstwem samego piśmiennictwa scenicznego.

J. W.

DZIEŁA
POPULARNO-NAUKOWE

Nasza literatura popularno-naukowa naogół bardzo jest uboga, w każdym bądź razie nie może odpowiadać potrzebom blisko 33-miljonowego narodu. Sytuację pogarszają jeszcze programy szkolne, doniedawna traktujące przyrodoznawstwo po macoszemu.

W latach ostatnich zjawiło się na półkach księgarskich sporo książek, które — jeśli dotrą do szerszych kręgów czytelników — przyczynią się do znacznego podniesienia poziomu wiedzy przyrodniczej w Polsce. Przekłady dzieł świetnego popularyzatora nauki Jeans'a, wprowadzającego nas w arkana wiedzy o naszej kosmicznej ojczyźnie, cieszą się już u nas zasłużoną opinją i zdobywają, jak na polskie stosunki, dużą poczytność. Niedawno ukazała się książka p. t. „Nowy Świat Fizyki" pióra tegoż pisarza. W dziele tem Jeans znacznie przekracza ramy zwykłego popularyzatorstwa i w dążeniu do syntezy daje nam wykład filozoficznego poglądu na świat. W niektórych szczegółach zdanie Jeans'a nie może być uważane za wyraz ogólnej opinji uczonych, niemniej jednak usiłowanie znakomitego popularyzatora, zmierzające do stworzenia jednolitej syntezy uznać należy za niezmiernie ciekawe. Oryginalna koncepcja świata Jeans'a stanie się niewątpliwie kamieniem milowym na drodze rozwoju myśli filozoficznej i fizykalnej.

Mniejwięcej równocześnie z „Nowym Światem Fizyki" ukazało się „Niebo" Jeans'a, czyli „astronomja dla laików", bardzo przystępnie napisane wprowadzenie w problemy gwiaździarstwa. C. A. Chant'a „Cuda Wszechświata" traktują mniejwięcej o tych samych problemach i nie ustępują w ujęciu i w formie książce Jeans'a; bodajże jedyną ujemną stroną tego dziełka jest mocno niefortunny tytuł. Autor współczesny, a zwłaszcza popularyzator wiedzy przyrodniczej, powinien wiedzieć, że czasy „cudów" ostatecznie się skończyły.

Interes kapitalistyczny wydawców nakazuje faworyzowanie przekładów. Niewątpliwie w okoliczności tej tkwi najważniejsza przyczyna, że dorobek oryginalny polskich autorów w popularyzatorstwie nauki przedstawia się jeszcze bardzo ubogo. Wyjątkowe zasługi w tej dziedzinie zdobyło sobie znane wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego, które mimo kryzysu kontynuuje swoją pracę wydawniczą. Niedawno pisaliśmy na łamach „Epoki" o doskonałej książce dwóch polskich uczonych dr-ów Szczeniowskiego i Ziemeckiego p. t. „Materja i Promieniowanie". W dobie obecnej, kiedy fizyka staje się terenem niespodziewanych odkryć, odkrycia elektronów o dodatnim naboju elektrycznym i neutronów, kiedy w Lejdzie uczeni docierają prawie do samej granicy niskich temperatur, należy jeszcze raz zwrócić uwagę na świetne dzieło, którego przestudjowanie umożliwi nam orjentację w najnowszych sukcesach i zdobyczach fizyków.

Dla podniesienia kultury przyrodniczej w Polsce wyjątkowe znaczenie będzie miało wydawnictwo „Bibljoteki Dzieł Naukowych", które od końca zeszłego roku w odstępach dwumiesięcznych wydaje pokaźnej objętości zeszyty, pięknie ilustrowane doskonałemi fotografjami, częściowo barwnemi, zawierające świetnie opracowane działy z dziedziny przyrody, martwej i żywej. Jeśli wydawnictwo nadal utrzyma się na obecnym poziomie, to literatura polska zyska prawdziwy klejnot. „Wielka Przyroda Ilustrowana", według przewidzianego planu składać się będzie z czterech tomów p. t.: „Ziemia", „Świat Zwierząt" i „Człowiek". Pięć zeszytów, które w tej chwili już wyszły, wchodzą w skład pierwszego tomu „Ziemia".

„Wielką Przyrodę Ilustrowaną", rozpoczyna rozdział o „Ziemi w Wszechświecie", pióra znakomitego polskiego astronoma, dyrektora Warszawskiego Obserwatorjum, dr. Michała Kamieńskiego. Jest to doskonały opis mechaniki i budowy wszechświata, opis, uwzględniający najnowsze zdobycze astrofizyki. „Fizyka Ziemi" d-ra Stenza, skupia już uwagę czytelnika na małym globie, krążącym między Marsem, a Wenus dookoła Słońca i zapoznaje nas z mechaniką jego życia planetarnego. Po przeczytaniu tych dwóch rozdziałów, świat stanie się dla nas mniej obcym, i według słów Hegla, „czuć się będziemy już nieco, jak u siebie w domu". Dalej następują rozdziały, omawiające historję zwierząt i roślin oraz świat mineralny ziemi. Koniec tomu zajmuje obszerny rozdział „Historja Ziemi" znanego geologa polskiego prof. d-ra Jana Lewińskiego. Prof. Lewiński w świetnym wykładzie demonstruje przedziwne dzieje skorupy ziemskiej, a interesujący opis uzupełniają ciekawe obrazy-rekonstrukcje pejzaży dawnych epok ziemi.

Dr. F. Burdecki



STANISŁAW BRZOZOWSKI O »LORDZIE JIMIE«

Dwa tygodnie przed śmiercią rozpoczął Stanisław Brzozowski dłuższe studjum o Józefie Conradzie, które było ostatnią i już niedokończoną pracą znakomitego pisarza. Pracą tą pragnął Brzozowski zwrócić baczniejszą uwagę polskiego świata umysłowego na pisarza, którego zarówno opinja czytelników, jak i sąd krytyki literackiej w Anglji stawiały zgodnie w pierwszym szeregu obok najwybitniejszych koryfeuszów literatury angielskiej, a który w żyłach swych nie posiadał ani kropli krwi angielskiej.

W czasie, gdy Brzozowski pisał studjum o Conradzie, w kwietniu roku 1911, istniała w przekładzie polskim jedynie powieść „Lord Jim". Krytyka polska przeoczyła wówczas całkowicie to głębokie, pełne lapidarnej mądrości i fascynującego piękna, a nawskroś w formie swej, koncepcji i kompozycji oryginalne dzieło. Dopiero w r. 1912 pojawiły się w kilku pismach polskich skąpe narazie i powierzchowne wzmianki z powodu autobiograficznego dzieła Conrada p. t. „Some Reminescences" (London,

Eveleigh Nash. 1912), wydanego wyjątkowo tym razem pod nazwiskiem Józefa Korzeniowskiego, a zawierającego i polskie wspomnienia z lat dziecinnych.

Zainteresowała się wówczas Conradem krytyka francuska. Tłomaczono na francuski jego utwory. Tą pośrednią drogą przeniknęło do Polski żywsze zainteresowanie dla pism Conrada.

W pamiętniku swym Brzozowski skreślił pod datą 14 lutego 1911 r. o „Lordzie Jimie" uwagi,*) które poniżej przytaczamy w całości:

„Znaczenie *Lorda Jima*. Zabija go utrata własnego szacunku, poczucia własnej godności. Od tej chwili ginie dla niego cały olbrzymi świat, który materjalnie go otacza, w którym bierze on udział.

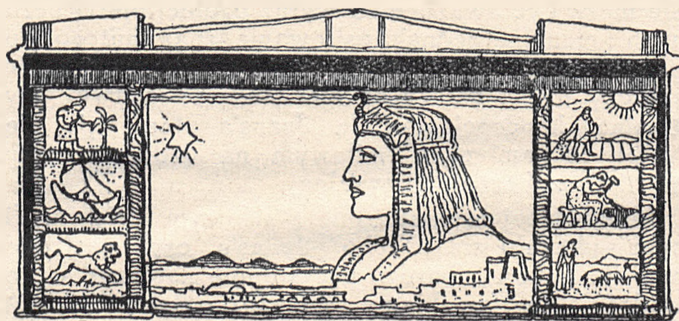
Problem przybiera tu postać bardziej skomplikowaną, nowoczesną wskutek tego, że ten świat materjalny — azjatycko-tropikalny jest niewspółwymierny z naszą etyką i wobec niego nasza etyka, nasze sumienie, bezwzględne nakazy, stanowiące samą istotę naszej osobowości, są tylko postulatami. Czemś względnem, przypadkiem, który walczy dopiero o swoje istnienie. Ten świat został tu wchłonięty przez wir sumienia biednego lorda Jima, dla którego jak dla Makbeta — według słów S. T. Coleridge'a — wszystko stało się wewnętrznem i ta ruina wewnętrzna stała się zkolei ruiną życiową. Bezwzględnie dla samego Conrada tu jest problem, co do którego waha się on. Jego głęboki nihilizm jednak czuje się czemś innem wobec „orjentalizmu" i cofa się przed nim.

Teraz staje się dla mnie ciekawem pytaniem psychologicznem — dedykacja jakiejś powieści Conradowskiej Wellsowi, jako monografiście Kippsów. Kipps, to lord Jim, który nie wyjechał. To lord Jim, który nie wie, z jakiej otchłani wydobyły się jego niewystawione na próbę zachodnie pojęcia o „postępowaniu" etc... Ale Wells jest raczej zdania, że pewien amorfizm moralny, który nie dopuszcza do tego, aby jakieś załamanie życiowe stało się ostatecznem, jest raczej pożyteczny.

Ludzie muszą być brudnawi i muszą się nauczyć, że to nie powinno prowadzić, ani do rozpaczy i samopotępienia, ani do ugrzęźnięcia w brudzie. Tono-Bungaj, Kipps, współczesne, opisowe powieści Wellsa przynoszą z sobą ten ton bezosobowej wyrozumiałości. Życie jest procesem, w tak niesłychanym stopniu przekraczającym zakres naszej osobistej kontroli, że nie możemy uważać odpowiedzialności osobistej za hipotezę, czyniącą zadość wszystkim stanom rzeczywistości.

I tu także daje się stosować ów sceptycyzm instrumentu; gdyż ostatecznie „ja" wschodnie jest hipotezą, instrumentem czynnym, etycznym tak, jak pojęcia matematyki, przyrodoznawstwa są hipotezami teoretycznemi.

Ciekawość moja dotyczy więc tego, czy Conrad dedykuje myślicielowi, czy też artyście — powieściopisarzowi, który w samej rzeczy wypracował nową formę obyczajowej powieści, formę, niedającą się zaklasyfikować, ani z Balzacowską, ani z Zolą, ani z Rosjanami (pomimo pozornych powinowactw, które mogą uwieść)".



WIDMA NA NOSZACH

Z PAMIĘTNIKA WIELKIEJ WOJNY**)

Lipiec. 1915. Wojskowi, udający wtajemniczonych, twierdzili, iż stan względnej martwoty, t. j. bez gwałtownych szturmów na pozycję, trwać może bez zmiany przez parę tygodni, gdyż Niemcom narazie nie zależy zupełnie na przerywaniu frontu w kierunku Warszawy, punkt ciężkości bowiem spoczywa zupełnie gdzieindziej i na innych frontach. Jakby na potwierdzenie tej fachowej opinji Niemcy dziś jeszcze zdążyli zaprezentować bardzo ciężką artylerję, którą zdołali widocznie już sprowadzić i ustawić w lasach Chojnowskich. Zapewne, jako cel strzału powitalnego wyznaczona została baterja rosyjska, gdyż potężny „kuferek", chociaż przeniósł, ale rozerwał się w prostej linji za nią w odległości paruset metrów zaledwie i kilkuset metrów od mojego mieszkania.

Uderzony siłą niezwykłej detonacji, wobec której huk rozrywających się bomb lotniczych wydawał się dziecinną zabawką, wyszedłem na dwór, by przekonać się, co zaszło nowego. Ogromna, gęsta masa rudego dymu, unosząc się wolno w spokojnem, nagrzanem powietrzu posuwała się nad głową, jak ciężka chmura gradowa bardzo nisko nawisła. Nie było wątpliwości, że dała znać o sobie jakaś pierwsza gruba Ber'a, sprowadzona zapewnie nie tyle dla zrujnowania wątłych umocnień polowych rosyjskich, ile dla poruszenia żeber drewnianych mostów na Wiśle, stanowiących punkty przeprawy dla cofającej się armji rosyjskiej. Kuferek, szczęśliwem zrządzeniem losu wpadł do jednego ze stawów, w które obfituje okolica tutejsza.

Z pozycji artyleryjskiej od czasu do czasu wpadają żołnierze, prosząc o mleko lub ziemniaki. Nie proszeni wcale, sami wiele i chętnie opowiadają o stosunkach wojskowych i nie krępując się — głośno wyrażają swoje sądy o dowództwie, o sposobach prowadzenia wojny, a przedewszystkiem o prawdziwych czy też częściowo urojonych nadużyciach zwierzchności. Jeden zwłaszcza, bardziej rozgarnięty i niewątpliwie inteligentny kanonier z pasją dowodził, że wszystkie klęski, poniesione przez armję zawdzięczać można wyłącznie zwierzchności. „Wsio iz za naczalstwa!" Twierdził też, iż napewno wielu błędów i porażek można byłoby uniknąć, gdyby wstrzymano ruch samochodów oficerskich w kierun-

*) Uwagi te przytoczone są w przypisach wydawcy do studjum o Conradzie w „Głosach wśród nocy".

**) „Pamiętnik" ten, z którego szereg fragmentów drukowaliśmy w „Epoce", ukaże się niebawem w wydaniu książkowem.

ku Warszawy i zamknięto na jakiś czas wielkie restauracje, kawiarnie nocne i kabarety. „Niech pan sobie wyobrazi, że takie rzeczy zdarzają się często i mogą wywołać czasem nieobliczalne następstwa. Taki fakt naprzykład, którego świadkiem mógłby pan być nawet, bo wydarzył się bardzo blisko stąd. Otóż sprowadzają koleją całą baterję. Działa stoją i czekają na platformach. Czas nagli, bo Niemcy już się umacniają. Trzeba je zestawić, przewieźć i ustawić na pozycji. Ale niema dowódcy. Gdzie dowódca? Nu, konieczno w Warszawie! Czekamy przy pociągu godzinę, dwie, trzy.. Wreszcie, nie doczekawszy się go, zdejmujemy działa sami i odprowadzamy na pozycje. Przyjeżdża wieczorem dowódca. Konieczno pijany. Wy sukin-syny! Ja was tak i tak! Naturalnie, ustawiliśmy źle i dzień cały stracony. Wot i naczalstwo!" Zapalił się kanonier. Wyczuć można było z jego wielu słusznych lub częściowo nawet niesłusznych oskarżeń, że przemawia przez niego świadomość długo wypracowywana w polu, wśród wielu dni i nocy na pozycji, w otoczeniu ludzi, którzy widzą, słyszą i pragną mimo wszystko jaknajsumienniej wypełnić swój obowiązek żołnierski. „Niech pan nie myśli, że my bez karabinów w rękach wrócimy do Moskwy, my nastawimy zwrotnicę zpowrotem na 1905 rok i pokażemy wielkim książętom, gdzie spoczywa krzywda i poniżenie narodu!"

Z oderwanych rozmów i mnóstwa przykładów drobnych wydarzeń, w które obfituje życie codzienne w okopie w obliczu nieprzyjaciela — jasne było, że ten świadek napewno nie stanowi wyjątku, że przez niego przemawia poczucie krzywdy wielkiego odłamu ludzi, od których wymagają ogromnych wysiłków fizycznych i moralnych, ale marnowanych przez lekkomyślną zwierzchność hultajską. A swoją drogą, tam, gdzie chodziło o poświęcenie bezgraniczne, ten przedstawiciel czującego i myślącego żołnierstwa nie rozumiał i nie doceniał tej wyższej formy ofiary i dumnego bohaterstwa po stronie nieprzyjaciela kwalifikując je wprost jako głupotę.

Niemal z oburzeniem opowiadał o zdarzeniu, w którem brał udział wczoraj nad ranem przed najbliższą pozycją artyleryjską, ustawioną w zaroślach pod samym lasem. Pikiety cichutko zawiadomiły, że skrada się trzech tajemniczych kawalerzystów niemieckich, którzy na siodłach mają jakieś aparaty. Pozwolono im zbliżyć się niemal pod samą pozycję. Lekki brzask rozrzedził nieco mroki krótkiej nocy lipcowej i wszyscy widzieli, leżąc z zapartym oddechem, kiedy Niemcy, jak cienie, bez szelestu zsunęli się z koni, szukając widocznie po ziemi połączeń telefonicznych.

„Pragnąc ich pochwycić żywcem, nie przeszkadzaliśmy im czołgać się w naszym kierunku, chcieliśmy bowiem mieć ich jaknajbliżej, otoczonych ze wszystkich stron. W pewnym momencie zerwało się nas kilkunastu naraz i rzuciło się na Niemców. Ci, zamiast się poddać w swojem beznadziejnem położeniu, rozpoczęli ogień na tak małą odległość, zdążywszy jednego z nas zabić i kilku ranić. Wówczas strzeliliśmy i my, zabijając dwóch żołnierzy na miejscu i raniąc trzeciego, który okazał się później wachmistrzem. Może w tem wszystkiem nie byłoby nic szczególnego, bo poznaliśmy już dobrze dziki upór i zawziętość Niemców, ale niech pan sobie wyobrazi, że ten ranny, ociekający krwią wachmistrz, zamiast się wreszcie poddać — zrywa się i zaczyna z rewolweru w odległości kilku kroków strzelać do nas raz po raz. Wot zlika! To już nie jest bohaterstwo, to jest głupota!"

Po południu zawitało do mnie dwóch oficerów rosyjskich, chorążych zapasu. Na tę rangę i rodzaj oficerów, powołanych świeżo z rezerwy, zwykło się patrzeć nie jak na skoszarowanych przedstawicieli zaboru, ale jak na inteligentną cząstkę społeczeństwa rosyjskiego, pragnącą też wyzwolenia z tyranji carskiej.

Pędząc dnie w zupełnej samotności w obliczu świata niezwykłych wypadków, dość chętnie przywitałem inteligentów, mając nadzieję, że podzielą się ze mną nowemi jakiemi wieściami i sądami swojemi o rzeczach.

Wracali oni ze sztabu dywizji, gdzie odebrali rozkazy udania się na pozycje w okolicach Warszawy i wstąpili z prośbą o gościnę parogodzinną do chwili odejścia najbliższego pociągu wojskowego. Ale po krótkiej już wstępnej rozmowie, niewątpliwie musiała mi zrzednąć mina, kiedy przekonałem się, że pod mundurami chorążych zapasu, kryją się nie tyle dusze intelektualistów z głębi Rosji, ile duszyczki pobliskich czynowników carskich. Okazało się, że jeden z nich był do niedawna jeszcze urzędnikiem w kuratorjum w Warszawie, stanowiąc dobrze znany typ „obrusitiela na okrainach". Wprawdzie wiele wygłaszał liberalnych poglądów w związku z wspaniałą przyszłością Polski i krztusił się z radości i dumy, mówiąc o epokowym manifeście wielkiego księcia, ale wyraźnie przebijało z tego wszystkiego duchowe oblicze chytrego mongoła. Drugi rosły, milczący prawie dotychczas chorąży, na zapytanie moje, jak się czuje, idąc po raz pierwszy na pozycje, odparł z pewną przechwałką w głosie: „ja, sobstwienno goworia uże obstrielan!" „Trochę dziwnem wydaje mi się, zauważyłem, że pan, nie widząc jeszcze pozycji, wąchał już prochu i nie uważa się pan za nowicjusza". „A, bo służąc w policji, byłem parokrotnie ranny w czasie rewolucji 1905 r". To mi wystarczyło i widząc, że wdepnąłem jak Piłat w credo, zaniemówiłem na dobre, pozostawiając tym panom możność prowadzenia dalszej konwersacji. Sens ich wynurzeń na temat toczących się tutaj walk pozycyjnych był taki, że spodziewają się trwania bez zmian obecnego położenia jeszcze przez szereg tygodni. Zaproponowali mi wreszcie, że jeśli życzyłbym sobie przejechać się na kilka godzin do Warszawy, to chętnie mi służą i postarają się o miejsce w pociągu wojskowym.

Po krótkim namyśle zdecydowałem się pojechać i istotnie pojechałem. W wagonie, oprócz mnie, byli sami wojskowi. Pociąg sunął między lasami, w których głębi bez przerwy grzechotały karabiny maszynowe. Ale w miarę zbliżania się do Piaseczna odzywać się też zaczęła od strony Gołkowa artylerja po obydwu stronach pozycji, a gdy pociąg zatrzymał się na stacji — ogień potężniał już z minuty na minutę. W Piasecznie wiadomo już było, że Niemcy pod Gołkowem przeszli do ataku. Pobliski las, w którym toczyły się walki, przesłonięty był dymami, ale na tle tej sinawej zasłony widać było wyraźnie rozrywające się pociski i słupy ziemi, wyrzucane wysoko wgórę. Bory i najbliższa okolica dygotały od potężnego huku dział. Kilka pocisków przeniosło przez pozycje rosyjskie i rozerwało się z trza-

skiem o kilkaset metrów od pociągu. Miało się to samo uczucie, jakie ma się w drodze, gdy zerwie się burza letnia i gęsto strzelają pioruny, że lada chwila dosięgnie pociągu jakiś niemiecki kuferek i roz niesie go w drzazgi.

Na platformie wagonu stał jakiś wojskowy, lornetując bez przerwy teren bitwy. Głośno obecnym zdawał relację z tego, co widzi w polu obstrzału, wskazywał kierunek pocisków, klnąc przytem od czortów i synów.

Krwawiły mocno widocznie pozycje, gdyż gęsto zaczęły krążyć ambulanse Czerwonego Krzyża i zwyczajne wozy, wyrzucając na peron obok pociągu dziesiątki rannych, odjeżdżając potem pośpiesznie zpowrotem. Lekarze i felczerzy w białych fartuchach uwijali się w kłębowisku szarych i czerwonych plam, a sanitarjusze z noszami znosili i odnosili obandażowane pół-trupy, przygotowując rzędami ładunek wzdłuż toru kolejowego.

Parowóz odczepiono od pociągu i przewekslowano na ostatni tor pod pompę dla nabrania wody i węgla. Nieruchome, maleńkie, bezradne wagoniki stały jakby skulone wśród nawałnicy bitwy. Napięcie nerwowe rosło, udzielając się wszystkim obecnym podróżnym. Najwięcej jednak niepokoju zdradzał ex-bohater policyjny 1905 r., obstrzelany już „sobstwienno goworia". Rzucał się w różne strony, wreszcie po jakimś mocnym, bliskim strzale, na cały głos zawołał: „fu, czort, mogliby już ruszyć!" Ale czekano widocznie na większy jeszcze kontyngent ciężko rannych i pociąg dalej tkwił w polu. Znoszono ich coraz więcej i coraz prędzej. Przerzucano tę bezwładną masę z miejsca na miejsce, jak szmelc żelazny lub jak puste worki po wysypaniu ziarna. W mieszaninie jęków, krzyków i nawoływań najgłośniej darła się rozpacz i przerażenie. Ale nie było oka lub ręki opiekuńczej najbliższych, którzyby odruchowo bronili lub błagali o ostrożne składanie na ziemi krwawiącej masy, lub czułemi słowami pociechy próbowali bóle uśmierzać.

W bezpiecznem mieście, przechodzień na widok karawany rannych najwyżej ze smutkiem kiwa głową, dopowiadając sobie dzieje przejść tych wiezionych widm obandażowanych. Nie trzeba wcale być mazgajem lub paniczykiem z wypieszczonemi paznogciami, by się wzdrygnąć i otrząsnąć przy dotknięciu tej rzeczywistości, ani tembardziej nie trzeba mieć już nawskroś przeżartej pesymizmem duszy, by przestać deklamować o wartości cywilizacji i dostojeństwie człowieka, dotykając przytem nogą kupy ludzkiego ładunku i spowitych w bandaże mar, drgających pod derkami na piasku. Frazesy o duchowym dorobku wieków i kultury ludzkości na pierwszym lepszym odcinku wojny znajdują wyraz swojej nicości, pustki i fikcji, dając wymowę jedynie najwyższemu i prawdziwemu sponiewieraniu samej wartości istoty ludzkiej i jej wyższego przeznaczenia.

Wreszcie doczepiono parowóz. Jeszcze, po półgodzinnym postoju w tych samych warunkach, pociąg ruszył w kierunku Warszawy. Już późnym bardzo wieczorem wysiadłem przy rogatkach miasta. Było zupełnie ciemno, gdyż z obawy przed samolotami niemieckiemi nie zapalano latarń ulicznych. Na samym dworcu i szeroko wokół zabudowań stacyjnych, a nawet wprost na chodnikach spoczywali liczni uciekinierzy. Na wiadomość o przybyciu pociągu różne postacie powstawały z bruku i zaglądając zbliska z powodu ciemności prosto w oczy, szukają widocznie jakiejś istoty znajomej, ażeby zasięgnąć wiadomości. Otoczono mię wokoło, a dowiedziawszy się, że żadne poważniejsze zmiany dotychczas nie zaszły i w moim kącie, wszystko niemal pozostało na swojem miejscu — głośno żałowali, że niepotrzebnie opuścili domostwa, narażając się na ruinę i poniewierkę.

Henryk Lukrec

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Słynna wielkanocna debata Izby Gmin o Niemczech powtórzyła się w dn. 5 lipca. Wprawdzie poszczególne wyrażenia, użyte tym razem w dyskusji, były może bardziej blade i przemówienia krótsze, niż w kwietniu, ale całość sprawia wrażenie bardzo mocne — tem mocniejsze, że trzy miesiące po tamtej, obecna dyskusja nabiera charakteru wyraźnego ostrzeżenia pod adresem Niemiec. Ostrzeżenie jest tem poważniejsze, że przyłączył się do niego głos przedstawiciela rządu W. Brytanji, który wówczas w kwietniu jeszcze milczał. Tym razem był to trójgłos: przemawiali leader opozycji — p. Lansbury (z Labour party), p. Austen Chamberlain (z partji rządowej konserwatystów) i minister spraw zagranicznych sir John Simon (nacjonal-liberał).

P. Lansbury zaczął od bardzo delikatnej materji, mianowicie, od pogłosek o zamówieniach niemieckich w Anglji na budowę samolotów wojskowych.

— Zawsze byliśmy — mówił — stronnikami fair play względem Niemiec, ale nie możemy patrzeć spokojnie na to, jak Niemcy zbroją się na całego i przy dzisiejszych swoich władcach stają się największem niebezpieczeństwem dla pokoju Europy i całego świata.

Oprócz tego p. Lansbury oświadczył:

— Nie usprawiedliwiając się wcale przed Niemcami lub ich rządem, zwracam uwagę na brutalne prześladowania w Niemczech i żądam, aby zbadano, czy Liga Narodów nie może ingerować w tej sprawie".

A po nim wszedł na trybunę p. Chamberlain i rzekł:

— Jako b. minister spraw zagranicznych muszę mówić o innych krajach, ważąc każde słowo. Ale pomimo to muszę oświadczyć, że nasz kraj nie może utrzymywać przyjacielskich stosunków z narodem, który wypędził ze swej polityki wszystkie ideje, stanowiące dla nas podstawę bytu".

I dalej przypomniał mówca, że jako minister prowadził politykę pojednania z Niemcami, szukał nowego ducha w stosunkach; Locarno było przez pewien czas symbolem pokoju i zgody, ale w nowych Niemczech nazwisko Stresemanna nie jest szanowane, a wyraz „Locarno" jest używany jako zniewaga.

Dyskusję zamknął minister John Simon, mówiąc m. in.:

— Padły tu jednomyślnie słowa ubolewania i troski z powodu ogólnej sytuacji w Niemczech, a szczególniej z powodu losu mniejszości narodowych. Słowa tu wypowiedziane nie są wyrazem ducha płytkiej krytyki lub doktrynerstwa, lecz wyrazem pełnej zastanowienia reakcji narodu brytyjskiego.

Tak więc, stwierdzić się daje jednomyślny, ujemny sąd opinji angielskiej i rządu angielskiego o obecnych Niemczech.

Potwierdzenie tego z trybuny Izby Gmin w przededniu rozejścia się parla-

mentu na wakacje jest faktem ważkim i dodatnim.

**
*

Na ten jednomyślny sąd opinji rząd Hitlera reaguje w sposób znany i wypróbowany przez wszystkie rządy ucisku, gwałtu i bezprawia. A więc — nowemi represjami wewnątrz kraju, kłamliwemi komunikatami i... utworzeniem policji sekretnej zagranicą. D. 24 czerwca Auswärtige Amt rozesłał okólnik do wszystkich placówek zagranicznych, polecając im utworzenie pod osłoną nietykalności dyplomatycznej sekretnych agentur politycznych. Agentury takie już pracują w Paryżu, Strassburgu, Zurychu, Wiedniu, Insbruku, Pradze Czeskiej, Warszawie, Kopenhadze, Brukseli, Londynie i Rzymie.

Któż stanął na czele tej niemieckiej ochrany? Któżby inny, jeżeli nie wypróbowany agent ochrany carskiej, znany jako szpieg, międzynarodowy — Meszarow.

**
*

Rządy despotów reakcyjnych mają pewne bogactwo pomysłów tylko w sposobach dokuczania obywatelom, choć i te przecież powtarzają się. Natomiast ogólna metoda działań powtarza się, aż do znudzenia.

Starsze pokolenie nasze pamięta dobrze, jak to w usłużnej prasie carofilskiej rosyjskiej pisano o Rasputinie, który posiadł nieograniczoną władzę w latach ostatnich caratu: mędrzec i dobroczyńca — tak określał go dwór, sfery rządzące i robiące interesy przy władzy.

A oto, co pisze jedna z gazetek hitlerowskich o Hitlerze i Hindenburgu. Prezydent Rzeszy miał rzekomo tej gazetce oświadczyć:

— Stosunki pomiędzy Hitlerem a mną są tak nadzwyczajne, jak pomiędzy najlepszym wnukiem a dziadkiem. Troskliwość, którą otacza on moją starość, jest wzruszająca. Pomaga mi kiedy siadam, lub kiedy podnoszę się. Podziwiam jego wszechstronne wykształcenie. Można z nim rozmawiać o wszystkiem. Ma on dar mówienia o wszystkiem krótko, jasno i wyraźnie".

Rasputin także był „jedynym, prawdziwym przyjacielem rodziny carskiej", także, jak Hitler mówił i nawet „gryp-sał" (nie można tego nazwać pisaniem) o wszystkiem i równie „światłe" były jego rady wedle opinji wszystkich dworaków i cara. Są naturalnie dwie różnice kultury: Hitler napewno nie gryzmoli swoich aforyzmów na brudnych kartkach i nie wygłasza przemówień po libacjach wódczanych. Ale trzeba przyznać, że jego satelici ujawniają mniej więcej ten sam poziom umysłowy, co „Grigorij".

Jeden z nich nazwał partję centrum katolickiego — dziełem szatana dla zniszczenia chrystjanizmu, inny przepowiedział, że polityka „rasowa" Niemiec otworzyła nowy okres kultury ludzkiej, obliczony na 20.000 do 30.000 lat. A takich kwiatków, rozsypujących w mowach i pismach „Führera" i jego przyjaciół można zebrać tysiące.

Po drugiej stronie barykady stoją bezbronnie tysiące ludzi, których całym orężem jest szlachetna myśl i odwaga cywilna. Ilu ich jest w dzisiejszych Niemczech, dowiemy się pewno o tem dopiero w przyszłości. Obecnie zrzadka tylko dopuszczony zostaje do świata ich głos, taki np. jak b. prezydenta pruskiej Akademji sztuk pięknych, Maxa Liebermanna, który sam w 86-ym roku życia zrzezygnował z piastowanej przez wiele lat godności, a gdy go pytano dlaczego, odpowiedział:

— Nie przywykłem, aby oprócz mojego sumienia ktoś mi dyktował przepisy dla mojego życia prywatnego i sztuki.

Z niespodziewanej strony rozlega się czasem głos prawdy w Niemczech, rzucając światło na ponure dzieje współczesnych Germanów. Np. hr. Rewentlow — niemiecko - narodowy z tej grupy, która uwielbiała Hitlera, ogłosił list otwarty do „wodza", stwierdzający, że dzieją się w Niemczech gwałty i okrucieństwa względem robotników, członków związków zawodowych ze strony szturmowców.

Hr. Rewentlow pisze:

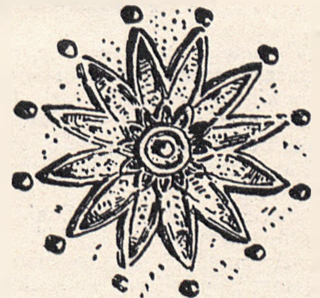
— Prześladowanie i gnębienie członków organizacji zawodowych przez „Sturm-Abteilungi" trwa i osiąga takie rozmiary, że spowodować może wielkie niebezpieczeństwo. Nie wchodzę w szczegóły, któremi służę na każde żądanie. Procedura naogół jest taka: związkowcy, nie wyłączając kobiet, są zaciągani do lokalów S. A., tam są bici i maltretowani nieraz w sposób, którego opisać niemożna. Często są przy tem okradani, a ich lokale niszczone..."

Hr. Rewentlow błaga Hitlera, aby położył temu kres, a w ten sposób pozyska dla hitleryzmu masy robotnicze, które były pod kierunkiem marksistów, a teraz są pozostawione sobie same".

List ten kończy się normalnem: „Heil Hitler", Hrabia Rewentlow jeszcze nie siedzi za Greuel - propagandę, ale należy sądzić, że przy pierwszej okazji będzie musiał krzyczeć „heil" z za drutów obozu koncentracyjnego.

Wśród wakacyjnej drzemki świata jęki płynące z tych obozów głuchną, stępiony słuch t. zw. opinji przestaje na nie reagować, ale nie zmieni to w niczem tej kolei rzeczy, w której „gwałt się gwałtem odciska".

St. Gr.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Kazimierzowi P. w Lublinie. Nie możemy decydować, nie znając rękopisu.

Panu Edwardowi K. w Łodzi. Dziękujemy za zaufanie, ale — niestety — robota za duża. Tyle tu trzeba poprawek i zmian, że lepiej byłoby całą rzecz nanowo napisać.

Panu Leonowi W. w Zawierciu. Nie do druku.

Pani Helenie K. w Krakowie. Ciekawe i straszne, zaiste, rzeczy dzieją się w Pani opowiadaniu. Tylko szkoda, że... przepisane z Poego. Na przyszłość prosimy nie liczyć na ignorancję redakcji. Coś nie coś czytaliśmy... Fe, proszę Pani, nieładnie...

Pani Ewie B. w Toruniu. Znajdzie Pani w najbliższym n-rze „Epoki".

Panu Zygmuntowi St. w Warszawie. Dziękujemy. Wysłaliśmy wszystkim.

Panu Stefanowi K. w Gdyni. Zachęcamy do pracy. Niektóre urywki b. dobre, całość jednak — nierówna i zbyt „kwiecista". Więcej prostoty i zwartości!

Panu Alfredowi M. w Przemyślu. Z materjału tego chętnie skorzystamy.

Panu Aleksandrowi Z. w Warszawie. Jeżeli chce Pan stworzyć „wielkie archiwum ciemnoty, głupoty i złej woli", niech Pan zbiera wszystko, co się pisze w naszej prasie klerykalnej o masonerji, o Lidze Reformy Obyczajów, o projekcie reformy prawa małżeńskiego i o... „Epoce".

Panu Ignacemu St. w Łodzi. Brak tematów? Nie, szanowny Panie, życie nigdy nie jest „mniej interesujące i mniej sensacyjne", tylko... dziennikarze są czasem zmęczeni, mają osłabiony wzrok i przytępiony słuch. Jeśli Panu brak tematów, to nie wina życia, ale dowód, że „aparat odbiorczy" pańskiej świadomości działa słabo.

Panu Mieczysławowi W. w Skierniewicach. O tych książkach pisaliśmy w n-rach 25 i 26 „Epoki".

Panu Henrykowi Ł. w Częstochowie. Nie możemy zamieścić.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in.:

Boy-Żeleński, dr. F. Burdecki, Emil Breiter, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Jadwiga Krawczyńska, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, Stanisław Małachowski-Łempicki, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski, Kazimiera Muszałówna, dr. Eug. Pragierowa, Wacław Rogowicz, N. Samotyhowa, Jerzy Stempowski, Anatol Stern, Andrzej Strug, Janina Strzelecka, Elżbieta Szemplińska, dr. Mieczysław Szerer, Leon Wasilewski, Józef Wasowski, Jan Waśniewski, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Józef Wittlin i Roman Zrębowicz.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedynczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-478 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.